

## **Wojciech Stanisławski: Rzeczpospolita Wielu Narodów. Chłodna, głodna, ale prawdziwa**

Najcenniejszy w „Księgach Jakubowych” jest dla mnie szczególny kąt, pod jakim opisane zostały jary, pola i tumulty I RP. Czytając „Księgi...” stale wspominałem figiel Hansa Holbeina, zawarty na portrecie „Ambasadorów”: ten „kształt dziwny”, który okazuje się gigantyczną czaszką, zamaskowaną przez zmyślny zabieg anamorfozy – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tokarczuk. Noblowskie opowieści”.

Pióro Olgi Tokarczuk lata, kędy chce, i dotyka czasów, jakich chce: od Prawieku po nieokreśloną i niedaleką albo osobliwą, alternatywną albo postapokaliptyczną przyszłość. Zanurzyło się i we fluktach dawnej Rzeczpospolitej i ziem ościennych, od zasilającej Dniestr Gnilej Lipy po wielki Dunaj. Co zdołała opisać, albo może raczej – co zechciała opisać w książce najbardziej zakorzenionej w dziejach Rzeczpospolitej, czyli w „Księgach Jakubowych”?

Zechciała – nie tak wiele, a przynajmniej – zupełnie inaczej niż dotąd. Zdołała (mimo to czy dzięki temu?) naprawdę dużo.

Żeby to jednak ocenić, trzeba podjąć próbę zdystansowania się od wielu kręgów zgiełku, który otoczył najnowszą polską noblistkę. Pierwszy krąg, najbardziej niewinny i oczywisty, dziennikarski, wiąże się z

samym faktem przyznania i wręczenia nagrody: złoty pasek, „podajemy wiadomość dnia”, sucha lawina lamp błyskowych, „co wiemy o Tokarczuk”: mieliśmy już jedną tego kulminację, za chwilę druga – i zgiełk zacznie cichnąć. Drugi krąg wiąże się z zaskoczeniem, jakim dla wielu bardziej tradycyjnie zorientowanych kręgów czytelników jest wizja świata pisarki, jej dystans nie tylko wobec wielu formuł tożsamościowych, lecz i wobec wielu zagadnień i tematów, albo ujmowanie ich z nieoczekiwanej, niespotykanej dotąd w „wysokiej” literaturze polskiej perspektywy.

**Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.**

**Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.**

Z tym jednak wiąże się jednak trzeci, osobny ton zgiełku: kontrowersje, jakie wywołały „Księgi Jakubowe” i ich odczytanie. Ściślej – niefortunne, nieszczęsne, milionkroć cytowane zdanie, wygłoszone przez autorkę „Książ...” podczas wręczenia nagrody Nike jesienią 2015 roku i powtórzona w rozmowie na antenie TVP Info: „My, Polacy (...) mordowaliśmy Żydów, byliśmy właścicielami niewolników”.

Apodyktyczność, z jaką wypowiedziano to zdanie i jego generalizujący zamysł zrodziły wiele złej krwi. Tysiącom czytelników wystarczyło ono, by na zawsze zrazić się do Tokarczuk, by osadzić ją „po stornie przeciwnika”, awansem i hurtem, w wielu sporach politycznych i metapolitycznych, którym wspólna jest oś „ojkofobia – ojko filia”. Bo rzeczywiście, uznać powyższe za esencję Rzeczypospolitej Wielu Narodów świadczy nie tylko o rozbijającym prezentyzmie i nierzetelności historycznej, ale i napędzającej wiele, jeśli nie większość

*Pióro Olgi Tokarczuk lata,  
kędy chce, i dotyka czasów,  
jakich chce: od Prawieku po  
nieokreśloną i niedaleką albo  
osobliwą, alternatywną albo  
postapokaliptyczną przyszłość*

współczesnych  
sporów gotowości do  
sięgnięcia po  
przemoc  
symboliczną w  
nadziei, że  
oponentów zrani to  
do żywego – może,  
kto wie, sprowokuje  
do przemocy

bardziej prostackiej? Przyrównując – na poziomie telewizyjnej „setki” – pana Onufrego Zagłobę i pułkownika Michała Jerzego Wołodziejowskiego do podatatusiałych „gorliwych katów Hitlera”, „zwyčajnych Niemców” z Policyjnego Batalionu 101, Tokarczuk wpisała się we wszelkie możliwe stereotypy dotyczące ojkofobów i dotknęła wszelkich możliwych obolałości, stając się bête noire dla wielu środowisk: od osób żywo związanych, na poziomie wierności, ale i lektur, i badań, z dziedzictwem Rzeczypospolitej, przez „zwyčajnych patriotów”, wyrażających swoje emocje poprzez trochę może oleodrukowe, ale żywe dla nich odwołania (Kłuszyn, Kmicic, karabela, Konstytucja – vivat!), po środowiska, którym sen z powiek spędza zarówno legendarna „rezolucja 447” Senatu USA, jak pragnienie znalezienia wszystkich uczestników tego antypolskiego spisku.

Podtrzymuję wypowiedzianą już kiedyś opinię, że zdanie to było wyjątkowo fatalne i nie bez znaczenia dla głębokości dzisiejszych lęków i urazów. Gdybym miał pewność, że Tokarczuk wypowiedziała je w ferworze telewizyjnej debaty, dla zamknięcia sprawy wystarczyłby oczywisty morał, że należy jak ognia unikać kamer telewizyjnych, a jeśli

już całkiem się nie da – starać się nie wypowiadać do nich zdań nadmiernie błyskotliwych i syntetycznych, bo potem wytną z nich „setkę” i ta, jak zbłąkany golem, zacznie żyć własnym życiem.

Autorka „Ksiąg Jakubowych” nie powtórzyła (jak dotąd) straszliwej formuły z 2015, ale i nie wycofała się z niej. Może to świadczyć o tym, że nie zdaje sobie sprawy z tego, jak zostało odebrane jej zdanie, że uważa rejwach, jaki wywołało, za zbyt płytki i gazetowy, by podejmować z nim polemikę bądź o jej przekonaniu, że powiedziała rzecz słuszną i celną. Nie wiem, co z tego jest prawdą i mam nadzieję, że zapyta o to któryś z dziennikarzy, rozmawiających w tych dniach z noblistką. Widzę natomiast, nabrawszy dystansu i oddechu, że zdanie to, po pierwsze – nie jest, na poziomie faktografii, całkowicie nieprawdziwe (choć mocno deformujące fakty) – po wtóre zaś, że nie jest całkowicie zdaniem Tokarczuk, a raczej (świadomym, nieświadomym?) cytatem.

„Mordowaliśmy Żydów, mieliśmy niewolników”? No cóż. Z morderstwami byłbym ostrożny: największe cierpienia społeczności żydowskiej w Rzeczypospolitej dokonywały się za sprawą zbuntowanych Kozaków w ich kolejnych rewoltach: już powstanie Chmielnickiego w żydowskim piśmiennictwie tamtego czasu określane jest mianem Gezerah, czyli „katastrofy”, podobnie opisywane są kolejne rzezie, aż po najgłośniejszą, humańską. To z rąk sienkiewiczowskiej czerni ginęły dziesiątki tysięcy Żydów osiadłych w województwach ukraińskich. Trzeba jednak na tej szali położyć również tumulty, wybuchające w wielu miastach Rzeczypospolitej, procesy o mord rytualny, którym z reguły niemal towarzyszyły tortury, a często – wyroki śmierci, przemoc usankcjonowaną w obyczaju (jak sławetny „kozubales”, nieformalna danina wymuszana na miasteczkowych Żydach groźbą przez

czeladników i uczniów konwiktów) oraz przemoc spontaniczną, nieprzewidywalną i powszechną. „U Żyda pił, batożył Żyda...” – podsumował to Jacek Kaczmarski. Picia było dużo, ale i batożenia po kielichu nie mało; pewnie zaznał go był i Jankiel.

Niewolnicy? Oczywiście nie w formule znanej starożytnym i bez filmowego dzwonienia kajdanów, które słyszymy w tle, ilekroć mowa o transoceanicznym handlu i plantacjach bawełny w Alabamie. Ale w nowożytnej Rzeczypospolitej, szczególnie w wieku XVI zarówno formuła pańszczyzny, jak handel kluczami i wioskami z całą zamieszkującą ją ludnością, jak kurczące się okno „wychodnego”, jak wreszcie praktyki ścigania, piętnowania i karania zbiegłych chłopów – naprawdę, nie wchodząc w subtelności prawne, więcej miały wspólnego z niewolą niż z wolnością.

Jedynie, co zabawne w tej niewesołej historii, to że Olga Tokarczuk mogła zaczerpnąć to zdanie od wybitnego krytyka Przemysława Czaplińskiego. To on bowiem, pisząc jako jeden z pierwszych o „Księgach Jakubowych” na łamach „Gazety Wyborczej” (wydanie z 21.10.2014, na rok przed przyznaniem Nike i wyżej wspomnianym wywiadem z autorką!) zagrzmiął „Trzeba powiedzieć to wyraźnie: Polska szlachecka była państwem niewolniczym”. I drugie, pocieszne, ale i znaczące: oboje, krytyk i autorka uznali, że obraz I Rzeczypospolitej, w którym znalazło się miejsce dla nękania Żydów i udręki chłopów pańszczyźnianych jest czym nowatorskim, rewolucyjnym, przełomowym. „Powieść Tokarczuk (...) odmienia postrzeganie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rewizję swoją pisarka rozgrywa na rewersie Trylogii” – pisał w 2014 r. Czapliński.

Cóż rzec: komu odmienia, temu odmienia. Nie trzeba być specjalistą od epoki nowożytnej: dość przeczytać którąś z prac klasyków (Małowista, Topolskiego, Szajnochy) czy prof. Urszuli Augustyniak, by nie mieć złudzeń co do losu włościanina w połowie XVIII wieku. Podobnie z losami społeczności żydowskich w Rzeczypospolitej: kto jeszcze, doprawdy, wachluje się laurkami, na których odmalowany byłby Waad („Sejm Czterech Ziem”), dekrety Władysława IV i Berek Joselewicz, lecz brakowałyby rewersu z pogromami, kozubalesem i nędzą?

Jak mawia Robert Mazurek – „Zostawmy to”. Zostawmy to, by móc zgodzić się z częścią żarliwego apelu Przemysława Czaplińskiego, który wezwał był przed pięciu laty, by „w spisie lektur do »Potopu« dodano »Księgi Jakubowe«”.

Jestem za! Oczywiście, w tym spisie lektur „Księgi Jakubowe” muszą znaleźć sobie miejsce wśród okazałej liczby istniejących już lektur uzupełniających: opisem świata panów Pasków (i jego demitologizacją) zajmowali się w końcu, nawet pominąwszy wyżej wspomniane prace czysto akademickie, liczni eseści, od klasyków, czyli Pawła Jasienicy i Janusza Tazbira po piszących w tej dekadzie Jacka Kowalskiego i Krzysztofa Koehlera.

Nawet jednak, jeśli przyszło by ograniczyć się do lektur z kategorii fiction – tak, warto. Bez żalu skreślić można z listy lektur Kraszewskiego i jego szlachetne, lecz statyczne niczym kredens ramoty z cyklu saskiego, nawet tak bliskie sytuacyjnie „Księgom Jakubowym” jak „Bracia rywale. Obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII wieku” (1884, nakładem Glücksberga). Szkoda trochę zdumiewająco

dynamicznego Niemcewicza z jego „Dwoma Sieciechami”. „Sarmatia” Kaczmarek? No cóż, płytę CD może uda się jakoś przemyścić pod obwolutą „Potopu”.

*Wiernego czytelnika  
„Trylogii” najbardziej  
zaskoczy nie zmieniona (i  
prawdziwsza) perspektywa  
społeczna: szlachta, samcza i  
podpita, pokrzykuje coś w tle,  
ale na pierwszym planie  
widoczna jest sól (sole) tej  
ziemi. Bardziej zaskoczy go  
akustyczna cisza i jej  
odpowiednik emocjonalny:  
dystans, chłód, acedia niemal*

Książka Tokarczuk  
przewyższa je  
wszystkie nie tylko  
szerokością  
panoramy, lecz i  
kątem, pod jakim  
została nakreślona.  
Co do szerokości  
można by mieć  
zastrzeżenia:  
wprawdzie w  
otwierającym  
powieść Rohatynie  
pysznie mieszają się  
wiary i języki, ale im  
dalej w głąb „Książ

Jakubowych” tym mniej w nich Ukraińców, Czuchoców, Sasów,  
Żmudzinów, Olędrów, Cyganów, Tatarów, Karaimųw, Szkotów,  
Siedmiogrodzian i tkaczy z Bohemii, by nie wspomnieć o tutejszych,  
lokalnych smolarzach, wiciniarzach i starowierach. Ostało się, ze  
względu na wychylenie powieści ku Lewantowi, trochę Ormian,  
dominują jednak – ku pogłębieniu opisu, ale i ku zakłóceniu proporcji –  
Żydzi, aszkenazyjscy i sefardyjscy, ortodoksyjni i poszukujący. Takiej  
panoramy społeczności żydowskich I RP nie znajdziemy nigdzie.  
Chwilami – zanim powieść nabierze porywającego tempa, zanim nie  
zacznie jej przewiewać na wskroś metafizyczny wiatr – można wręcz  
ulec złudzeniu, że mamy do czynienia z odmianą „powieści

edukacyjnej”, która ma za zadanie nafutrować czytelnika jak największą ilością faktów encyklopedycznych dotyczących epoki czy regionu. Oczywiście powieści edukacyjnej z klasą, nie na kształt strasznie topornych (choć wspomnianych z sentymentem) dzieł Alfreda Szklarskiego z serii o „Tomku na tropach...”, który między jednym a drugim strzałem bosmana Nowickiego potrafił zaprezentować nam, nastoletnim zaczytanym, kompletny przekrój poprzeczny dziobaka. „Księgi Jakubowe” należałoby raczej zestawiać z wziętym w Stanach Nealem Stephensonem, który w swoim „Cyklu barokowym” przeciągnął czytelników przez połowę XVIII wieku, każąc mu poznać ze dwieście indywidualności, od Christiana Huygensa po Newtona, Leibniza, Sobieskiego i Piotra Wielkiego.

Najcenniejszy jest dla mnie jednak ten szczególny kąt, pod jakim opisane zostały jary, pola i tumulty I RP. Czytając „Księgi...” stale wspominałem figiel Hansa Holbeina, zawarty na portrecie „Ambasadorów”: ten „kształt dziwny”, który okazuje się gigantyczną czaszką, zamaskowaną przez zmyślny zabieg anamorfozy.

Podobnie odmieniona zostaje perspektywa w „Księgach...”. Wiernego czytelnika „Trylogii” najbardziej zaskoczy nie zmieniona (i prawdziwsza) perspektywa społeczna: szlachta, samcza i podpita, pokrzykuje coś w tle, ale na pierwszym planie widoczna jest sól (sole) tej ziemi. Bardziej zaskoczy go akustyczna cisza i jej odpowiednik emocjonalny: dystans, chłód, acedia niemal – przynajmniej, jeśli idzie o sprawy polityczne.

„Trylogia” kipi smołą, potem, ale nade wszystko zaangażowaniem w sprawę Rzeczypospolitej. Na Chmiela! Na Szweda! Za Bogusławem! – ciskają się bohaterowie, nawet, jeśli czasem po drodze ruszą, hajże, na Wołmontowicze. I ten obraz pasjonatów, zapalczywych, zgrzanych pod kontuszem i peruką obecny jest w innych wybitnych tytułach traktujących o polskim wieku XVIII – choćby w znakomitym „Chacku” Włodzimierza Boleckiego, choćby w miniaturach Andrzeja Żuławskiego.

Tak, tacy oni byli, tacy gardłowali za sprawą. Ale właśnie – oni. U Tokarczuk chłop pańszczyźniany milczy w jarzmie, przybyszów ze Smyrny inny zaś trawi żal, inny lęk. I jako taki cichy rewers rozkrzycanej „Trylogii” ma sens. Dopełnia ją wersami pełnymi dystansu, jawnie prezentystycznymi, ostentacyjnie beznamiętnymi – trochę tak, jak „Czerwone tarcze” Iwaszkiewicza dopełniły osiemdziesiąt pięć lat temu kanon „powieści o polskim średniowieczu”, włącznie z – psiakość, znów ten Sienkiewicz! – „Krzyżakami”.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego